**Sam Smith  – The Thrill Of It All (2017)**



*1 Too Good At Goodbyes 2 Say It First 3 One Last Song 4 Midnight Train 5 Burning 6 Him 7 Baby, You Make Me Crazy 8 No Peace (Featuring – Yebba) 9 Palace 10 Pray 11 Nothing Left For You 12 The Thrill Of It All 13 Scars 14 One Day At A Time* Japan Bonus Tracks *15 Leader Of The Pack 16 Blind Eye*

Sam Smith's massive debut album was dominated by sad love songs such as 'Stay With Me', so it was fitting that he named it 'In The Lonely Hour'. Now the 25-year-old is back with a second effort called 'The Thrill Of It All', which suggests he might have lightened up a bit. Smith started out collaborating with Disclosure ('Latch') and Naughty Boy ('La La La'), so does this album herald his return to the dancefloor? Erm, no – the 10-track standard edition features nothing but ballads.

But that's not to say it offers no artistic growth. Co-produced by Zayn and Frank Ocean collaborator Malay, 'Say It First' is a spare and poignant track whose guitar line recalls The xx. The gospel-flecked 'Pray' features reasonably trendy R&B beats, which makes sense when you spot the name 'Timbaland' on the credits. Smith could have duetted with anyone here, so it's interesting that the album's sole guest singer is an unsigned artist called YEBBA: their wonderfully dramatic break-up song 'No Peace' is a highlight. In recent interviews, Smith has definitely seemed more comfortable in his skin, and that's reflected on 'HIM', in which he reconciles religion with falling for a man. "Don't you try and tell me that God doesn't care for us / It is him I love," he sings proudly.

Occasionally, Smith slips back into blandness. The unimaginative Motown-flavoured track 'Baby, You Make Me Crazy' could have been sung by Olly Murs; piano ballad 'Burning' is a bit boring, although redeemed by lyrics that will make Smith's vocal coach wince: "Baby, I've been smoking / Oh, more than 20 a day". In fairness, it hasn't affected his voice, which sounds

typically majestic throughout.

It’s a cliché to compare Smith with fellow belter Adele, but a fairly unavoidable one. Both have become enormously successful by singing emotional ballads that connect with huge numbers of people, and both are understandably reluctant to raise the tempo as a result. But like Adele’s ‘25’, this is an undeniably accomplished album that will, deservedly, shift a helluva lot of copies. ---Nick Levine, nme.com

Druga płyta jednego z najwybitniejszych współczesnych wokalistów z rozmachem weszła na rynek. Została wyprodukowana przy zaangażowaniu najlepszych światowych producentów (m.in. Steve Fitzmaurice, Jimmy Napes, Timbaland), co już świadczy, z jaką pieczołowitością potraktowano powrót tego platynowego dotychczas artysty na fonograficzny rynek po trzech latach. Sam Smith oddał swoje nagrania w ręce mistrzów konsolety specjalizujących się w popowej stylistyce i postanowił załapać się do pociągu z napisem elektronika jadącego w przeciwnym kierunku, co jego – z szyldem akustyczny soul.W efekcie tego mariażu otrzymujemy dzieło na wyrafinowany wieczór przy domowym stereo.

Sam Smith wyrósł i pasowany był na muzykanta w chmurnej Anglii. Jego zamierzchłe początki to próby zdyskontowania popularności Eda Sheerana. Potem zaczął flirtować z „czarnym” brzmieniem. Dzisiaj jest instytucją, którą otwarcie wspierają raczej jego rówieśnicy niż młodzież. I tak być powinno. Jego lekko zmęczony głos, nienachalne instrumenty i proste, a jednak niepospolite melodie (polecam zwłaszcza „Burning”) każą myśleć o nim jako o współplemieńcu Niny Simone i Adele. A że czasem łapiesz się na tym, że przestajesz słuchać? Album nie wyrwie z zadumy, on jej sprzyja.

To, co na debiucie przed paroma laty brzmiało jeszcze nieśmiało, teraz dowodzi, że Smith się otrzaskał sam ze sobą i okroił formułę do niezbędnego kośćca. Jest nim oczywiście biały soul. Album pod względem brzmieniowym i rytmicznym wydaje się nieco staroświecką płytą i przywołuje muzykę, na której autor sam się wychował. Stąd w wielu utworach pojawia się sekcja dęta i ciepłe żeńskie chórki zamiast elektronicznych beatów i przestrzennej produkcji. Te proste melodie zostały uzupełnione o bezbolesne teksty miłosne.

Mówić, że Sam Smith wkłada w swój śpiew duszę, to za mało. On wkłada i duszę, i ciało. Jest absolutnym mistrzem w nadawaniu piosenkom własnego „skrzywienia”. Nawet wychodząc od tak ograniczonej formy jak gospel, potrafi skonstruować cacko: „HIM” to najlepszy numer na tym mocnym albumie. Blisko plasują się: „Say It First”, „Palace” oraz świetna piosenka tytułowa. I to nie jest tak, że Smith „śpiewa, jak ptak śpiewa”. Żaden ptak nie śpiewa do utraty tchu. Nie wystarczy też powiedzieć, „że on tak ma”. Nikt tak nie ma. Sam Smith – jak przystało na prawdziwego artystę – każdą nutę wyciska z siebie z wielkim wysiłkiem.

Czas zrewidować resentymenty. Nie żebym wykupił roczną składkę w fanklubach błękitnookiego soulu. To raczej Sam Smith mnie zaskoczył. „The Thrill of It All” jest po prostu bardzo rzetelnym kawałkiem żywej muzyki. Brytyjczyk sam manewruje swoją orkiestrą, jednak pierwszy raz zrobił tak szeroki użytek z instrumentów nieklawiszowych. Tu brzęknie gitara, tam rąbnie bęben, ówdzie zarzępoli kwartet smyczkowy – nie mówiąc o prawdziwym chórze gospelowym w „Pray”. Sam Smith śpiewa całym gardłem, nie mamrocze na podobieństwo zaspanego dromadera, jak to mu się zdarzało. Kto pragnie, znajdzie tu przeboje – z „Too Good at Goodbyes” na czele. Kto chce – znajdzie subtelne balladki. Dla innych są mroki, dla jeszcze innych nuty nadziei. Wciąż jest to muzyka zbyt jesienna na moje nerwy, ale tak czy inaczej – chapeau bas! ---Maciek Saskowski, jazzsoul.pl

download (mp3 @320 kbs):

yandex mediafire uloz.to cloudmailru gett

back